Miasto przemytników



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r,, fot. arch. Cz. Sornata

Czesław Sornat *(Austin, Teksas)*

Zahedan to miasteczko na wschodnim krańcu Iranu, znane jako miasto przemytników do… i z… Pakistanu. To miejsce, w którym rozkręca się wagony, żeby upchnąć cały przemyt, w każdą, nawet najmniejsza szparkę. Dzięki Bogu nie ruszają lokomotywy,

chociaż nie zajęło by im to zbyt dużo czasu. Myślę, że zapisanie całej strony nie wystarczyłaby, aby wymienić wszystkie przemycane towary. Zacznijmy od najbardziej kolorowych i największych zwojów lin do wspinaczki wysokogórskiej. Schowanie ich wymagało odkręcenia ścian wagonów, żeby rozłożyć je równomiernie pomiędzy płytami.

No, ale co zrobić z tonami szarych materiałów w belach, w których tak się kochają Pakistańczycy? Przemytnicy są kreatywni. Jeżeli owinąć zazwyczaj chudych tubylców kilkadziesiąt razy materiałem, postawić ich potem delikatnie pod ścianami tak, żeby się nawzajem podpierali, to mogłoby nawet ujść uwadze przekupionych celników. Gorzej byłoby z wyrostkami, którzy po owinięciu tkaniną mogliby być tak szerocy jak wysocy. Do tego w turbanach dwukrotnie wyższych i szerszych niż ich głowy. Tych trudno było nie zauważyć. No, ale wtedy powinny zadziałać łapówki. Bo inaczej…



Łódzcy studenci z klubu „W Siną Dal” na wyprawie do Iranu, Zahedan, sierpień 1978 r. , fot. arch. Cz. Sornata

Wróćmy jednak do Zahedanu. Jest to gliniane miasteczko w środku pustyni na granicy irańsko-pakistańskiej, z jedyną linią kolejową. Należy dodać, że pociąg łączył Zahedan z Quettą (centrum Talibów) tylko raz w tygodniu.

W tym czasie Afganistan przeżył pierwszą rewolucję i przejazd przez ten kraj do Indii nie był możliwy. Pozostawał jedynie pociąg przemytników. Zdecydowało się na to dwadzieścia jeden szaleńców – Europejczyków. No cóż, szaleńców nie brakuje, szczególnie, gdy motywacją jest haszysz uprawiany w Indiach. Jednak dla nas, polskich studentów taka motywacja odpadała.

Pozostawało szaleństwo i nieznajomość realiów Azji południowo-zachodniej.

Muszę teraz cofnąć się w czasie, do momentu, kiedy wysiedliśmy w środku nocy na dworcu autobusowym w Zahedanie. Przejście dużej grupy Europejczyków przez źle oświetlone gliniane miasto, w poszukiwaniu dworca kolejowego, bez zwrócenia uwagi policji i wojska, było na granicy cudu.

Wcześniej czy później musieliśmy się znaleźć – na POSTERUNKU WOJSKOWYM! Co może być bardziej niebezpiecznego od oddziału żołnierzy z mózgami pełnymi oparów haszyszu i z amerykańskimi M-16 w dłoniach? Dodajmy do pełnego obrazu grupę ponad dwudziestu białych turystów, (a może białych najemników…) środku nocy. Przerażający scenariusz. Dzięki Bogu mieliśmy odrobinę zdrowego rozsądku i my, studenci z Łodzi, poszliśmy w niewielkiej odległości za wszystkimi. Nagle kilku białym przyszło do głowy odłączyć się od grupy i pójść w kierunku posterunku, żeby spytać się o drogę na dworzec kolejowy. Tego było już za wiele. Jak jeden mąż eskortujący nas żołnierze złapali za karabiny i z krzykiem rzucili się w naszym kierunku. Ich okrzyk mógł oznaczać “ręce do góry” – bo co innego mogliby w takim momencie mówić, jednocześnie waląc kolbami tych kilku głupio odważnych. Wszyscy inni padli na kolana i w przerażeniu czekali, który z żołnierzy pociągnie za spust. Niech los mnie chroni przed podróżowaniem z pewnymi

siebie, choć tak naprawdę naiwnymi białymi turystami.



Bodyguards, Pakistan, Zahedan, Quetta, sierpień 1978 r. fot. arch. Cz. Sornata

Impas, klasyczny impas. Z jednej strony ci odważni, którzy zostali brutalnie zwaleni na ziemię, wraz z pozostałymi klęczącymi na kolanach, z rękami założonymi nad głową. A z drugiej strony spanikowani żołnierze zastanawiający się czy już strzelać, czy jeszcze poczekać. I jak tu wyjść nie tylko żywym, ale jeszcze z HONOREM.

Koniec końców żołnierze pozwolili nam się oddalić baaardzo powoli w pokazanym przez nich kierunku. Los się nad nami zlitował, bo idąc tak, dotarliśmy w końcu do dworca kolejowego.

Dworzec okazał się być odgrodzony od miasta wysoką, na 8 stóp, metalową siatką uwieńczoną drutem kolczastym. Nasze marzenia o przespaniu się na drewnianej podłodze poczekalni dworcowej prysnęły jak bańka mydlana. Co więcej, u podnóża tych kilkusetmetrowego płotu, jeden przy drugim spali przyszli przemytnicy. Tylko co pewien czas widać było ogniki papierosów czuwających wartowników. Cóż mieliśmy zrobić, poszukaliśmy jakiejś dziury miedzy śpiącymi i też położyliśmy się spać. Oj, jakie sny mieliśmy. Wszystkie kończyły się seriami z karabinów M16. Obudziliśmy się bardziej zmęczeni, niż kiedy się kładliśmy spać. Ale żyliśmy. I to było najważniejsze.

Nasi sąsiedzi już coś tam gotowali na przenośnych kuchenkach. Niektórzy z nieśmiałym uśmiechem zapraszali do skorzystania z ich obozowiska. Z radością je przyjęliśmy. Jeszcze nigdy przesłodzona herbata z glinianego kubka tak dobrze mi nie smakowała.



Iran, Zahedan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

Ludzie byli ciekawi co mogliby chcieć przemycić Europejczycy. Przecież haszysz i marihuanę przemyca się na zachód. Więc co? Trudno opisać wyraz zdziwienia na ich twarzach, gdy próbowaliśmy przekonać ich, że NIC! NIC, takie najzwyczajniejsze NIC. Tego jeszcze nikt nie próbował tam przemycić!

Nie przypuszczałem, że zbierze się wokół nas tak wielka grupa, żeby komentować nasze NIC. A ile radości im sprawiliśmy, to tylko oni wiedzieli. Jeszcze chwila, a przebraliby nas za błaznów i wystawili na najwyższym wzniesieniu dworca. No, ale kupiło nam to wariackie papiery i pełną tolerancję ze strony tych groźnie wyglądających brodaczy. Każdy miał karabin, niektórzy swoją

broń przewiązywali sznurkiem, i wielkie kindżały za pasami. Czuliśmy się jak w obozie Alibaby i 40 rozbójników.

No, ale wracajmy do poranka po obudzeniu się i wypiciu herbaty. Biegiem popędziliśmy, żeby kupić bilety do Quetty. A kupienie tych biletów było wyczynem na miarę wspięcia się na Kilimandżaro. Wiem o czym piszę, bo się na Kilimandżaro wspiąłem. Teraz pozostał jeszcze jeden dzień czekania i koczowania pod płotem. No i w drogę.



Pociąg przemytników, Iran, Zahedan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

W międzyczasie pociąg został rozkręcony i skręcony wraz z tymi tonami przemycanych towarów. Dzieło sztuki inżynieryjnej najwspanialszych mózgów Iranu i Pakistanu. Potem przyszedł

czas szturmu i walki o kawałek ławki czy podłogi. Ale wszędzie byliśmy przeganiani, aż skończyliśmy w ostatnim wagoniku. Okazało się, że był to wagon obsługi pociągu, więc zgodnie z przepisami mieliśmy być wszyscy z tego pociągu wyrzuceni, razem z naszymi europejskimi, przepłaconymi biletami. No, ale nagle w negocjacje włączyła się starszyzna plemienna i zaczęto przydzielać po kilku Europejczyków do każdego wagonu. Co, jak się później okazało, uratowało życie wielu ludziom. Wojsko nie strzelało na oślep w stronę wagonów, bo mogło niechcący trafić Europejczyka i tłumaczyć się potem różnym ambasadorom i politykom. Oj, to by już pachniało pakistańską Syberią. Więc jak się okazało wilk został zdrowy i żywy, a i owca cała dojechała do Quetty.

Piątka Polaków trafiła do wagonu wodza plemienia, któremu służba zbudowała coś w rodzaju tronu. Wokół stało kilkunastu uzbrojonych po zęby strażników. Tym razem wszyscy mieli AK47. Od czasu do czasu coś się dostawało nam z pańskiego stołu. To było dobre do czasu, gdy miejscowi nie zaczęli wyciągać woreczków z haszyszem i nie robić skrętów z gazety. Nasze początkowe nieśmiałe próby odmawiania palenia z nimi, trafiało na znaną nam z Polski logikę: “co, ze mną nie wypijesz?” A tutaj przy potrząsaniu kałasznikowami usłyszeliśmy, że odmówienie palenia nie wchodzi w grę.

Odmówić wodzowi plemienia, no to, to się jeszcze nie zdarzyło.

Nawet takim szczęściarzom jak my. Raz kozie śmierć! Powiedzmy, że koza też pojawiała się w naszych halucynacjach, trzymających nas przez dwa dni. Korzyścią było to, że nie mieliśmy łaknienia i nie musieliśmy nic jeść. Gorzej było z pragnieniem. Z tego powodu przeżywaliśmy katorgi.



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata



Iran, Isfahan, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

*

Byliśmy tak zamroczeni haszyszem, że nie za bardzo wiedzieliśmy co się wokół nas dzieje. Na szczęście, można powiedzieć. Gdy pociąg został otoczony przez duży anty przemytniczy odział wojska, bieganie, ganianie, rozkręcanie wagonów, odwijanie ludzi, wyglądających jak radziecka mańka-wstańka z nieskończonych metrów materiału, a nawet strzelanie,

było jakby poza nami. My w błogim półśnie, z uśmiechem przylepionym do ust, patrzyliśmy się na to wszystko jak na film. Co więcej film z innej planety. Błogosławiona nieświadomość i niepamięć.

Oczywiście długie godziny trwało rozkręcanie i skręcanie wagonów, negocjacje przywódców plemion z przywódcami wojskowymi, co i za ile łapówek może pozostać w pociągu i pojechać w głąb kraju. A i łapówki, i skonfiskowane przedmioty podreperowały portfele kiepsko opłacanych żołnierzy.

Tymczasem my w swoich okręcikach bujających w obłokach haszyszu nie zwróciliśmy uwagi, że nasza podróż zamiast trwać jeden dzień, trwała pełne trzy dni. No właśnie trzy dni, a my jedzenie i wodę mieliśmy na jeden dzień. Jak już wspominałem, z jedzeniem nie było problemu, ale umieraliśmy z braku wody. Na drugi dzień zatrzymaliśmy się na stacji w środku nicości. Wokół tylko kilka glinianych chatek, a na poboczu – zbiornik na wodę dla lokomotyw. Gdy już nasza lokomotywa się opiła do granic niemożliwości, to przyszła pora na pasażerów. Przy podstawie zbiornika był kranik i wiszący na metalowym łańcuchu mały metalowy kubek. I olbrzymia kolejka. Każdy dostawał kubek mętnej wody. Kubek chyba nigdy nie myty, a był przekazywany z rąk do rąk, a raczej z ust do ust. Mimo swojej mętności i czegoś tam pływającego, smak wody wydawał nam się smakiem najwspanialszego nektaru. Bo to była WODA! – prawdziwa

WODA! I to było najważniejsze! A obawy o bakterie, czy ameby? A kto by się przejmował, gdy wreszcie po przeszło dniu miał przed sobą kubek prawdziwej WODY! I musiał ją szybko pić, bo tłum czekający w kolejce, mógłby rozszarpać każdego, kto przedłużał dostanie się do tego życiodajnego wodopoju.

Gdy pod koniec trzeciego dnia wjechaliśmy niezbyt triumfalnie do Quetty, to radości nie było końca. Wszyscy Europejczycy zdecydowali się czekać na pociąg do Rawalpindi. I tylko niedoinformowani Polacy pozostali kilka dni w totalnie zmilitaryzowanej stolicy Talibanu. Ale te wydarzenia poczekają na następną opowieść.

Ponad sześciomiesięczna wyprawa klubu studenckiego z Łodzi „W Siną Dal", 1978 r. Trasa: Polska, Związek Radziecki, Iran, Pakistan, Indie, Kashmir, Indie, Sri Lanka, Indie, Nepal, Indie, Pakistan, Afganistan, Iran, Związek Radziecki, Polska.



Iran, Teheran, sierpień 1978 r., fot. arch. Cz. Sornata

*

Zobacz też:

> Zjawy z wyspy Rapa Nui

Noesis – projekt Ryszarda Litwiniuka na Uniwersytecie w Dreźnie

Noesis – Temple of Man, to spektakularny projekt powstający na kampusie Uniwersytetu w Dreźnie. Tematem jest Wiedza i Nauka. Rzeźbiarz, znany z imponujących drewnianych konstrukcji, od lat eksplorujący drewno jako materiał, pokusił się o stworzenie monumentalnego pomnika postawionego nauce i ludzkiemu intelektowi. Jako tworzywo posłużyły mu dwie tony kamieni. Postument, złożony jest z dwóch gigantycznych bloków, z górnym obrotowym.



Ryszard Litwiniuk, Noesis, kamień

Noesis (noeza), inaczej intuicja intelektualna to bezpośredni wgląd w stan rzeczy. Według Platona była to czysta myśl, dzięki której człowiek może odkryć prawdziwy świat idei. Zdaniem greckiego filozofa rzeczywistość nie może się znajdować w tym co jednostkowe i zmienne, tylko w tym, co powszechne i stałe. Rzeczywistość można więc poznać poprzez uogólnienia, które wyodrębnione zostają tylko w poznaniu intuicyjnym. W metafizyce nowożytnej, Henry Bergson uważał, że intuicja intelektualna jest przeciwieństwem poznania naukowego, przy czym poznanie naukowe to drobiazgowy opis przedmiotu, ale bez poznania intuicyjnego nie można ująć rzeczywistości w całość. W filozofii Edmunda Husserla noeza jest to intencjonalny akt świadomości. W psychologii jest to funkcjonowanie intelektu.

(Na podstawie Wikipedii).

*

RYSZARD LITWINIUK – NOESIS

*

















*

Zobacz też:

> Refleksje. Najnowsze prace Ryszarda Litwiniuka.

Ryszard Litwiniuk na Międzynarodowym Sympozjum Rzeźbiarzy Forma Viva w Kostanjevicy na Słowenii

Ryszard Litwiniuk – System Otwarty

Wrzesień pełen wrzosów i… wojennych

wspomnień



Fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik *(1932-2012)*

W tym miesiącu dość często, przez ostatnie kilkadziesiąt lat, jeździłem pociągiem do Puław, do Kazimierza nad Wisłą, do Nałęczowa. Kiedy pociąg zostawiał za sobą Jedlińsk zwykle zaczynałem intensywnie obserwować skraj lasów wypatrując pojawiających się co pewien czas szerokich połaci wrzosów. Tak, to kwitnące wrzosy nadały nazwę dziewiątemu miesiącowi roku. Zresztą miesiąc ten bywał niekiedy nazywany świętomichalski, od imienin Św. Michała przypadających na 29

dzień września. Albo też w niektórych regionach nosi nazwę pajęcznik” – po prostu od babiego lata, od wlokącej się po krzewach, po roślinach srebrzystej „pajęczyny”.

Pierwszy września 1939 roku był przeze mnie wymarzoną datą. Miałem iść do szkoły podstawowej w Łagiszy; tornister był spakowany wzorowo. Tymczasem przyszło nam udać się na wrześniową tułaczkę zwykłą furmanką sąsiadów. Z Łagiszy przez Dąbrowę Górniczą, Łosień, Niegowonice, Bukowno – klucząc po leśnych wertepach – po paru dnia dotarliśmy przez Pieskową Skałę do samej Skały. Tam nas niemieckie oddziały zawróciły. Oto nastał czas okupacji. Zaczął się wyjątkowo dramatycznym widowiskiem. Wieczorem 11 września wróciliśmy z kilkudniowej tułaczki do domu. Kiedy wyszedłem na podwórze o szarej godzinie, uderzyła mnie okropna łuna unosząca się nad Zamkiem Piastowskim w Będzinie. To Niemcy palili synagogę, a wraz z nią kilkudziesięciu Żydów. To było moje pierwsze osobiste porażenie okupacją… Kolejne przyszło w postaci wieści ze Wschodu. To nielojalny sąsiad 17 września zaczynał „wyzwalać” „uciskanych” przez „polskich panów kresowych” Litwinów, Bialorusinów i Ukraińców.

Przeżycia polskiego września znalazły duży odzew w polskiej literaturze. Dość wymienić – przykładowo – reportaże Zofii Petersowej *Wrzesień Warszawy 1939* (1946), Melchiora Wańkowicza artykuły publicystyczne *Wrzesień żagwiący* (1947),

Jerzego Putramenta powieść *Wrzesień* (1952), wreszcie Jana Parandowskiego wspomnienia *Wrześniowa noc* (1962) oraz Wandy Melcer *Wrzesień kobiety* (1965). Wizję jesiennych wrzosów zabrał w pamięci do stalagu żołnierz września, Konstanty Ildefons Gałczyński, by po latach uformować ją w kształt poetycki *Pieśni o żołnierzach z Westerplatte*. Przede wszystkim polski wrzesień trafił – jako bohater – w świat ludowej pieśni ulicznej i podwórkowej. Pamiętamy, że w jednym z filmów powojennych Leonarda Buczkowskiego *Zakazane piosenki* uliczne śpiewaczki Alina Janowska i Hanka Bielicka śpiewały dziarsko piosenkę ze słowami Julii Ryczarowej: „Dnia pierwszego września, roku pamiętnego / wróg napadł na Polskę z kraju niemieckiego …”.



Moneta upamiętniająca 70. rocznicę niemieckiej i rosyjskiej inwazji na Polskę w dniach 1 i 17 września 1939 r. oraz ostrzału

polskiej bazy wojskowej Westerplatte w Wolnym Mieście Gdańsku, przód: popiersia trzech dowódców Westreplatte – por. Stefana Grodeckiego, kpt. Mieczysława Słabego i kpt. Franciszka Dąbrowskiego, dar Narodowego Banku Polskiego, kolekcja Berlin State Museums, fot. Reinhard Saczewski, źródło wikimedia commons

Dramat września nieśli za sobą na Zachód nasi poeci, zwłaszcza skamandryci. Pisał o tym w *Abecadle wspomnień* Antoni Słonimski, relacjonował mi też te przeżycia wrześniowe Stanisław Baliński, gdy w czerwcu 1984 roku spędzałem z nim wiele godzin dziennie w Acton Hospital w Londynie. W lipcu 1984 Maria Kuncewiczowa w swojej „Kuncewiczówce" Kazimierskiej pokazywała mi miejsca, w których żegnała idących na tułaczkę Słonimskiego, Balińskiego, Wierzyńskiego i Tuwima z żonami. Niebawem sama z mężem Jerzym podążyła ich tułaczym szlakiem.

Okrucieństwo „czasów pogardy" ja i moi rówieśnicy próbowaliśmy w jakimś stopniu neutralizować. Tworzyć rodzaj antidotum. Chodziło o stworzenie klimatu „przedwojenności", normalności w świecie nienormalnym, w świecie – jak to określił Kazimierz Wyka – „na niby". Uczyliśmy się intensywnie historii Polski; tej bohaterskiej; obyczaju naszych babć i dziadków. Bawiliśmy się przysłowiami w rodzaju:

„Wrzesień jeszcze w słońcu chodzi, babie lato już się rodzi";

„Burze we wrześniu nieraz wywróżą, że rok następny da zboża dużo”; „Pierwszy września pogodny, w zimie czas wygodny”; „Chodzi wrzesień po rosie, zbiera grzyby we wrzosie”; „Otóż wrzesień, a więc jesień, gospodarze ręce w kieszeń”; „Gdy we wrześniu tłuste ptaki, w zimie mróz nie lada jaki”; „Gdy wrzesień z pogodą zaczyna, zwykle przez miesiąc pogoda trzyma”; „Wrzesień miesiąc wyborowy, wyskoczył z trawy borowik”; „We wrześniu tak jak w sierpniu, tylko dni są krótsze”; „Gdy się wrzesień rozpoczyna, na majówkę gna rodzina”; „Kiedy wrzesień, to już jesień, wtedy jabłek pełna kieszeń”.



Fot. pixabay

Twórczość Wincentego Pola – którego dosłownie pochłanialiśmy

– cała pachniała Polską, zwłaszcza *Pieśń o ziemi naszej* ze zwrotką:

> Coraz ciszej – Wrzesień! Wrzesień!
>
> Słońce rzuca blask z ukosa,
>
> I dzień krótszy chłodna rosa,
>
> Ha! I jesień polska jesień!

Bliski też nam był Julian Tuwim. W wierszu *Kartofle* (tom *Rzecz Czarnoleska*) z wyjątkową maestrią oddawał w formie poetyckiej wykopkowo-ogniskowy nastrój jesieni w pejzażu rustykalnym, gdzieś nad brzegami płynącej swojskiej Pilicy:

> Czujesz? Ogniskiem pachną te pogańskie lata,
>
> Gdy iskrami trzaskały żagwie jałowcowe
>
> I dym wełnistym kłębem za wiatrem ulatał,
>
> I marszczyły się z żaru kartofle surowe.

(...)

I nigdy tak kartofel podany do stołu

Nie nęcił, jak ten właśnie, z przyswędem i węglem,

Łapczywie wytrącony patykiem-pocięglem

Z siwej, gorącej mąki leśnego popiołu.

Z dłoni go w dłoń przerzucać! dmuchać, bo gorący!

Parzy obłuskiwaną spieczoną łupiną!

Tknąc w sól z papierka! Wchłonąć w usta chuchające,

Żeby się na skaczącym języku rozpłynął!

Łódkami się przez siwą Pilicę wracało,

Z prądem, z wiatrem, pod wieczór, pod zorzę wiśniową,

W milczeniu, zamyśleniu, z gorejącą głową.

Tak się ogień, popioły i smutek poznało.

Dziś – na szczęście – nie wszystko we wrześniu musi się kojarzyć z bólem, choć przecież pod koniec tego miesiąca, przed laty, dogasało powstanie warszawskie. Jak Feniks z popiołów bezustannie rodzi się nasze polskie życie tętniące przez lata, kwartały pór roku i przez miesiące. Teraz po latach grozy mój wrzesień znów się uśmiecha nitkami babiego lata w łagodnum już słońcu. Do tornistra pakuję książki, lecz już nie moje… Książki mej wnuczki Julisi. Coś się zmienia. Nie zmienia się jedynie zachwyt nad wrzosami przy torze kolejowym za Jedlińskiem…



Fot. pixabay

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury,*

krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.

*

Zobacz też poprzednie artykuły z serii „Nasze miesiące”:

> Lipcowe rocznice

> Upojny klimat czerwca

Zjawy z wyspy Rapa

Nui



Czesław Sornat

Skakał ze spadochronem, był na kilku safari w Afryce, odbył wyprawę na Kilimandżaro, kilka tygodni spędził z plemieniem Berberów na Saharze. **Beznadziejnie zakochany w kulturze Polinezji, żył na wielu wyspach wraz z ich mieszkańcami. Pomagał w budowie/wypalaniu łodzi polinezyjskiej na Cook Island. Kilka miesięcy spędził w klasztorze w Tybecie. Stał przed lufami karabinów, gdyż przeżył pierwszą i drugą rewolucję w Afganistanie. Był aresztowany przez SAWAK (bezpiekę Szacha Iranu),**

przeżył ucieczkę Szacha i przyjazd Khomeiniego. Zatrzymany przez Talibów w Ghazni – w sercu Talibanu. Przeżył stan wojenny na Fiji, gdzie dwukrotne był aresztowany jako szpieg. Zaprzyjaźnił się z księżniczką z Tonga, gdzie próbowano zmusić go do ożenku. Podróżował zardzewiałym i rozsypującym się statkiem „Dedele" po wyspach archipelagu Vanuatu (gdzie mieszkają kanibale), dzięki kapitanowi Machi, czyli Maciejowi Bocheńskiemu, któ̀ry osiadł tam po wojnie. Adoptowany przez rodzinę polinezyjską na Bora Bora i przez rzeźbiarza z Rapa Nui (na Wyspach Wielkanocnych).

Czesław Sornat *(Austin, Teksas)*

Nazwa Wyspy Wielkanocne używana jest przez białych ludzi. Wśród Polinezyjczyków największa wyspa z archipelagu znana jest pod nazwą Rapa Nui. Podobnie jak inne wyspy, również i tę przemaszerowałem wzdłuż i wszerz. Po tym wyjaśnieniu mogę przejść do opisania swojej wyprawy w poszukiwaniu posągów Moai Ahu Akivi.

Nieoficjalnie grupa Moai nazywana jest "Czekający Żeglarze". Legenda mówi o grupie żeglarzy-odkrywców, którzy odnaleźli tę wyspę i zdecydowali się czekać, wraz z osiedleńcami, na swojego króla. Niestety, czekali tak długo, aż zamienili się w kamienie. Różnica między nimi a pozostałymi Moai rozsianymi wzdłuż

wybrzeża jest taka, że te posągi patrzą w kierunku wyspy, plecami do oceanu. Natomiast Moai Ahu Akivi są ulokowane na jednej z gór w środku wyspy i patrzą w kierunku oceanu. Prowadzi do nich wąska, często zanikająca ścieżka długości 13 km.



Kobieta-zjawa, fot. Czesław Sornat

Z miejscowości Hanga Roa ruszyłem w kierunku zachodnim. Pierwszym przystankiem miał być Moai AhuTahai. W trakcie robienia zdjęć, nagle w moim obiektywie, pojawiła się nieziemska postać. Z posągu wyszła przepiękna kobieta-zjawa,

owinięta jedynie w zwiewną szatę z ptasich piór. Wokół niej biegały dwa wielkie wilczury. Początkowo pomyślałem, że to albo moje zmysły, albo aparat płatają mi figla. Zjawisko było naprawdę nieziemskie. Ostrożnie – żeby nie spłoszyć obrazu przed moimi oczami – sprawdziłem aparat fotograficzny i zacząłem robić zdjęcia. Na szczęście byłem całkowicie ignorowany. Zjawa powoli wyciągnęła ręce do nieba i zaczęła się modlić. Powoli osuwała się, aż opadła na kolana. Psy leżały cichutko przy jej kolanach. Wiatr niósł jej śpiew-chantowanie. Czułem się jak zahipnotyzowany.



Koń i psy, fot. Czesław Sornat

Nagle psy poderwały się i pobiegły w moim kierunku. Zamarłem i stałem bez ruchu, ale psy zaczęły przyjaźnie ocierać się o moje nogi. Spojrzałem na nie przez krótką chwilę. Gdy podniosłem z powrotem głowę, kobiety-zjawy już nie było, jakby rozpłynęła się, niczym puszysta chmurka. Puch! – była i jej nie ma. Zacząłem iść w kierunku drogi, a psy podążały za mną. Kilkaset metrów dalej wilczury zobaczyły stado dzikich koni. Tu odezwał się w nich duch dzikich wilków i ruszyły w pogoń. Po pewnym czasie poddały się i wróciły do mnie. Położyły się przy moich stopach, jakby czekały, w którą stronę pójdę. Gdy zacząłem iść – kierując się słońcem – one zaczęły biec za mną. I tak, jakby to była zabawa dobiegały do mnie i odbiegały w krzaki znikając mi z oczu. Ale zawsze wracały. W pewnym momencie doszliśmy do kamiennego murku ciągnącego się w nieskończoność w obie strony. Nie wiedziałem, w którą stronę iść. Wilczury leżały przez chwilę i nagle się zerwały, a każdy z nich pobiegł w inną stronę. Stałem zdezorientowany. Za kilka minut znowu przybiegły. Jeden z nich podbiegał i odbiegał, jakby chciał dać mi znak, żeby za nim iść. No więc poszedłem. Po kilkuset metrach pokazała się drewniana i spróchniała furtka. Z trudem ją otworzyłem, ale droga znowu była otwarta. Tym razem to wilczury mnie prowadziły.



Spróchniała furtka, fot. Czesław Sornat

W pewnym momencie skręciły w lewo w kierunku oceanu zamiast w kierunku wyspy. Zdecydowałem zawierzyć wilczurom i poszedłem za nimi. Doprowadziły mnie do podziemnej groty ze źródłem. Była olbrzymia i jak się później dowiedziałem, w grotach tych ukrywały się całe wioski, podczas walk plemiennych. Wilczury położyły się u wejścia groty i czekały spokojnie, aż zakończę jej eksplorację.



Podziemna grota ze źródłem, fot. Czesław Sornat

Po wyjściu znów wyruszyliśmy w drogę, ale tym razem w kierunku środka wyspy. Szliśmy tak kilka godzin, aż doszliśmy do wspaniałej podziemnej oazy ze źródłem i przepięknie rosnącymi bananami. Z powierzchni wyspy absolutnie nie było jej widać. Po dłuższym odpoczynku połączonym z kąpielą zdecydowałem się iść dalej. Po kilkudziesięciu metrach w oddali ukazały mi się poszukiwane posągi Ahu Akivi. Już wiedziałem, w którą stronę iść.



Podziemna oaza z bananowcami, fot. Czesław Sornat

Wilczury, które mnie prowadziły i pilnowały przez całą drogę, nagle zniknęły. Tak samo jak kobieta-zjawa. Były – puch! I już ich nie było. Przez długi czas je wołałem, szukałem, ale bezskutecznie. Nigdy więcej już ich nie zobaczyłem. Czyżby duchy Wyspy prowadzące zbłąkanego wędrowca?

Po czasie przyszło mi do głowy, że to duch mojego ukochanego psa Belli, który odszedł w moich ramionach pół roku wcześniej, wysłał wilczury, aby doprowadziły mnie bezpiecznie przez kamieniste bezdroża do Ahu Akivi Moai… A teraz… niech Ci,

którzy chcą w to uwierzyć, po prostu uwierzą, a ci pozostali… niech się uśmiechną z niedowierzaniem i potraktują te opowieści jako wytwór mojej wybujałej wyobraźni.

*

G A L E R I A

Wyprawa na Wyspy Wielkanocne, 2018 r., fot. Czesław Sornat

*













*

Zobacz też:

> Transformacje. Czesław Sornat.

Zapach jest mocarnym czarodziejem

Iwona Kmieć

radomianka, rysuje, maluje, projektuje od wczesnego dzieciństwa



Iwona Kmieć

Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku (Projektowanie Wnętrz, 2012) oraz Ontario College of Art (Environmental Design,1990) w Toronto. Po absolutorium na Wydziale Architektury Wnętrz i Wzornictwa Przemysłowego w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Gdańsku (1985) wyjeżdża do Kanady. W Toronto założyła rodzinę i zajmuje się pracą twórczą.

Projektuje wnętrza, uczy, maluje akrylową techniką mieszaną oraz rysuje na iPadzie i telefonie w technice cyfrowej. W swoich artystycznych poszukiwaniach odkryła iż motorem jej poczynań i główna inspiracją jest ulotny zapach. To właśnie zapach wpływa na odtworzenie emocjonalnych związków z przeszłością i jest również pozytywnym i budującym elementem, wpływającym na teraźniejszość.

Jak powiedziała kiedyś Helen Keller:

> Zapach jest mocarnym czarodziejem, który przenosi cię poprzez tysiące mil i poprzez wszystkie lata które przeżyłeś.

G A L E R I A

Fotografie z wystawy prac Iwony Kmieć p.t. „Zapach prania”, marzec 2022 r., Ruth Upjohn Gallery, Toronto



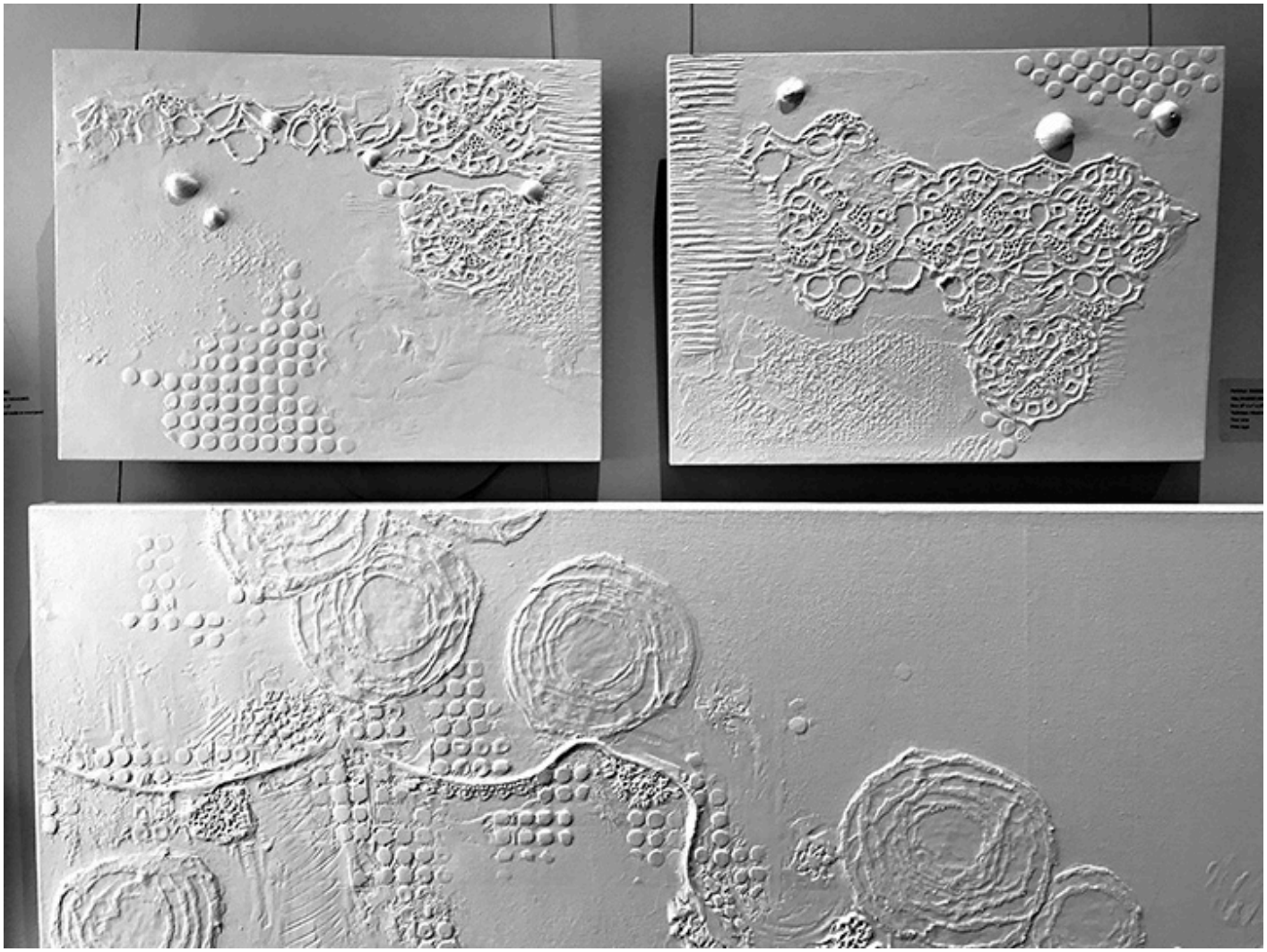

IWONA KMIEĆ
SCENT OF LAUNDRY
Digital Art & Collage
RUTH UPJOHN GALLERY
February 23 - March 05, 2022
Artist Talk online via Zoom: Feb. 24, 1pm - 2pm
Register Artist Talk: cal@womensartofcanada.ca
Artist present at the Gallery:
February 26, 11am - 2pm
March 05, 1pm - 4pm
Women's Art Association of Canada
23 Prince Arthur Ave.
Toronto, ON M5R 1B2
Gallery hours: Tuesday- Saturday 10am- 4pm
www.womensartofcanada.ca
416.922.2060

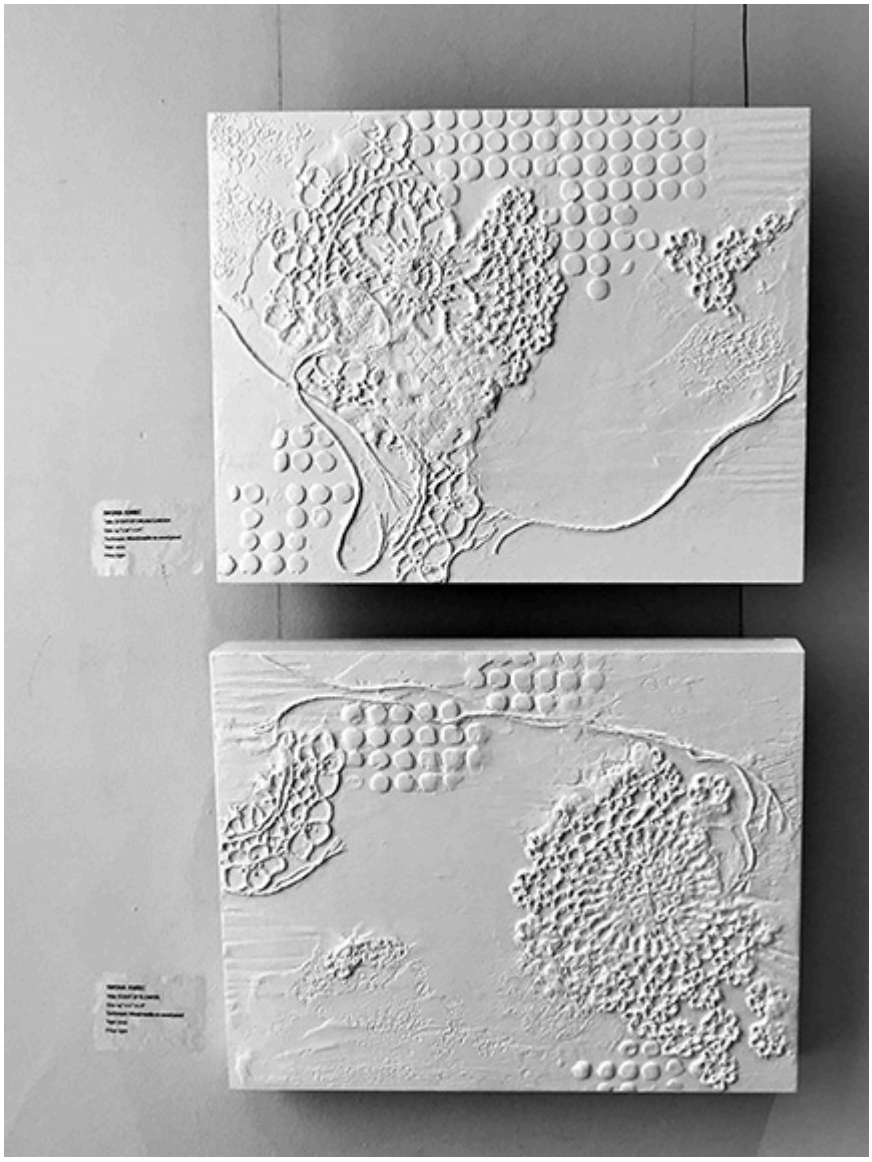












*

*

Website:

www.visualscentart.com

Instagram:

@iekmiec

*

*

*

*

*

*

*

*

*

*

Zobacz recenzję z wystawy:

> Pamiętajcie o artystach…

Aleksandra Ziółkowska-Boehm laureatką nagrody Przeszłość/Przyszłość w kategorii Polonia i Polacy za granicą, przyznanej

przez Fundację im. Janusza Kurtyki



Aleksandra Ziółkowska-Boehm, fot. Anna Karp

W dniach 26-28 sierpnia 2022 odbyła się finałowa gala konkursu Przeszłość/Przyszłość, podczas której ogłoszono laureatów. Pierwsze dwa dni zostały zorganizowane w

Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, ostatniego dnia uczestnicy mogli wziąć udział w spacerze historycznym oraz zwiedzić Bibliotekę im. Janusza Kurtyki.

Konkurs jest inicjatywą mającą na celu nie tylko dokonanie przeglądu, ale przede wszystkim nagrodzenie i upublicznienie najlepszych projektów promujących i upamiętniających polską historię. Konkurs odbył się w pięciu kategoriach:

1. Upamiętnienie w terenie;

2. Dyplomacja publiczna i troska o dobre imię Polski w świecie;

3. Strażnicy Ksiąg *(księgarnie, antykwariaty, biblioteki, wydawnictwa);*

4. Innowacyjne formy edukacji historycznej;

5. Polonia i Polacy za granicą.

Ostatnia kategoria została wprowadzona w tym roku po raz pierwszy. Obejmuje ona wszelkie inicjatywy, które promują polską historię. Do konkursu w tej kategorii można było zgłaszać Polaków mieszkających poza krajem.



Fot. Wojciech Mosiołek

Magazyn „Culture Avenue” zgłosił mieszkającą w Wilmington, w stanie Delaware, Aleksandrę Ziółkowską-Boehm, autorkę książek historycznych, które wydawane są zarówno w języku polskim, jak i w angielskim, takich m.in. jak: „Kaja od Radosława”, „Dwór w Kraśnicy i Hubalowy Demon„, „Lepszy dzień nie przyszedł już”, „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści” czy „Wokół Wańkowicza„. W języku angielskim recenzje pisały tak znane osoby jak Zbigniew Brzeziński czy Lynne Olson i Stanley Cloud (autorzy „Sprawy honoru”). Za książki historyczne wydane w USA autorka otrzymala m.in. nagrodę Fulbrighta, czy też doroczną nagrodę literacką stanu Delaware. W swoich książkach Aleksandra Ziółkowska-Boehm pokazuje losy ludzkie z wojną w

tle. Jej bohaterowie uwikłani są w ciężkie sytuacje, podejmują trudne wybory. Są to autentyczne postacie, opowiadające swoje życiowe losy. Te historyczne przekazy mają też wartościowy walor literacki. Szczegóły z życia bohaterów i emocje im towarzyszące powodują, że czytelnik wczuwa się w przedstawiane postacie. Bohaterowie są tak pokazani, że ich historia staje się uniwersalna, a przez to bardziej przemawia również do angielskojęzycznego czytelnika. To najlepszy sposób, aby promować polską historię.

26 sierpnia miała miejsce debata p.t. „Czego nie widać z Warszawy? Polonia i Polacy jako ambasadorowie dobrego imienia Rzeczypospolitej", w której wzięła udział m.in. Aleksandra Ziółkowska-Boehm, a 27 sierpnia odbyło się uroczyste wręczenie nagrody. W imieniu laureatki z podziękowaniem wystąpił Czesław Czapliński, polsko-amerykański artysta fotografik, mieszkający na stałe w Nowym Jorku, autor portretów wybitnych osobowości współczesnego świata. Publikowany był wielokrotnie na łamach takich pism jak „The New York Times", „Time", „Vanity Fair", „The Washington Post", „Newsweek", „Twój Styl", „Viva", „Rzeczpospolita" czy „Wprost".

Joanna Sokołowska-Gwizdka (Austin, Teksas)

redaktor magazynu „Culture Avenue"



Czesław Czapliński przedstawia podziękowanie w imieniu Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, fot. Wojciech Mosiołek



Czesław Czapliński odbiera dyplom w imieniu Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, nagrodę wręcza prezes Fundacji Paweł Kurtyka, z prawej prof. Jan Wiktor Sienkiewicz, członek kapituły konkursu Przeszłość/Przyszłość w kategorii Polonia i Polacy za granicą, fot. Wojciech Mosiołek

Podziękowanie Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm:

Serdecznie dziękuję Kapitule za przyznanie mi tej nagrody. Cieszę się ogromnie otrzymanym wyróżnieniem, jestem wdzięczna, i także dumna.

Cenię sobie bardzo, że Patronem nagrody jest wybitny historyk Janusz Kurtyka. Pamiętam, że w 1989 roku czytałam jego

opublikowaną w podziemnym obiegu pierwszą wydaną w Polsce biografię Leopolda Okulickiego.

Nagroda między innymi zwraca uwagę na język polski poza Polską. – Język, który jest szczególnie drogi, gdy mieszkamy poza Krajem. Studiując polonistykę uczyłam się kochać literaturę, język, doceniać ludzi, którzy mi go w piękny sposób przybliżali.

Od ponad 30 lat mieszkam w Stanach Zjednoczonych. Mój mąż ś.p. Norman Boehm nie mówił po polsku, ale ogromnie cenił naszą historię. Jestem mu wdzięczna, że mnie zachęcał i wspierał dobrymi słowami, bym pisała o polskiej historii. Żeby świat się dowiedział.

To także język nas łączy, niezależnie od miejsca w którym mieszkamy.

Zacytuję Juliusza Słowackiego:

> Polsko Ty moja!…
>
> Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
>
> Pacierz, co płacze i piorun co błyska.

Za to, że kocham język polski, chcę podziękować swoim Rodzicom, swoim nauczycielom, profesorom. Chcę także wspomnieć wybitne postacie, które miałam szczęście znać – Melchiora Wańkowicza, profesora Władysława Tatarkiewicza, Ryszarda Kapuścińskiego i wielu innych.

Piszę po polsku, cieszę się, że moje książki pokazujące polskie losy, polską historię ukazują się w kraju, a także – w języku angielskim w Stanach Zjednoczonych.

Na koniec zacytuję Melchiora Wańkowicza *Inwokację do języka*:

> Myślę o nim jak w najcięższych chwilach ten nieodłączny, towarzysz podbiega z rozstrzygającą pomocą: **słowem** – patosem, że nagle staje się cisza, **słowem** – komikiem, który rozrzedził patos; **słowem** –wyzwaniem; słowem żądlącym; **słowem** smacznym; **słowem** kolorowym; słowem pachnącym; **słowem** kojącym; **słowem**-zaklęciem, **słowem**-przekleństwem; **słowem**-wytrychem; **słowem** – tylko dla Ciebie.



Dworek „Milusin”, siedziba Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, fot. Maciej Szczepańczyk, źródło: wikipedia

*

Debata „Czego nie widać z Warszawy? Polonia i Polacy jako ambasadorowie dobrego imienia Rzeczypospolitej”:

*

Zobacz też:

> Pisanie to honory, a nie honoraria

Odszedł wizjoner polskiej emigracji w Teksasie – biskup John Walter Yanta (1931-2022)

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

Biskup John Walter Yanta to postać niezwykła. Potomek pierwszych polskich osadników w Teksasie, był dumny ze swoich korzeni i chętnie je podkreślał. Angażował się w wiele polskich projektów, mających na celu pielęgnowanie dziedzictwa polskiego i tradycji. Zaszedł daleko w hierarchii kościelnej, był pierwszym biskupem polskiego

pochodzenia w historii Teksasu.



Biskup John W. Yanta, fot. materiały prasowe, Panna Maria Polish Heritage Center

Jego pradziadkowie od strony matki przybyli do Teksasu z Górnego Śląska wraz z księdzem Leopoldem Moczygembą w 1854 r., a od strony ojca rok później. Byli to: Szymon Janta i Józefa (Josefa) Reyman, Kasper Kasprzyk i Maria Zielińska, Jan Polok i Anna Gorzel oraz Filip Dziuk i Maria Anna (Mary Ann) Moczygemba. Jego dziadkami natomiast byli: Walenty (Valentine) Yanta i Albertyna (Albertina) Kasprzyk, Wawrzyniec (Laurence) Polok i Katarzyna (Katherine) Dziuk. Rodzinna historia głosiła, że babka od strony ojca, Albertyna Kasprzyk, urodziła się pod słynnym dębem, nieopodal kościoła w Pannie

Marii, pod którym odbyła się pierwsza msza w Wigilię 1854 roku, odprawiona przez księdza Leopolda Moczygembę dla zmęczonych wycieńczającą podróżą pielgrzymów.

Rodzice John Andrew Yanta i Maria Magdalena Polok ślub wzięli w historycznym kościele Niepokalanego Poczęcia NMP w Pannie Marii – najstarszej polskiej parafii w Stanach Zjednoczonych. Mieli ośmioro dzieci. Przyszły biskup urodził się 2 października 1931 roku w małym miasteczku Runge w Teksasie, w pobliżu Panny Marii (ok. 20 minut jadąc samochodem), jako piąte dziecko w rodzinie. Jego dzieciństwo wypadło na trudny okres Wielkiego Kryzysu. Rodzice radzili sobie jak mogli, mając niewielką farmę, uprawiali warzywa oraz hodowali kurczaki i świnie na sprzedaż. Z braku wystarczających dochodów matka szyła dla dzieci ubrania z płóciennych worków przeznaczonych na paszę dla bydła. Od piątego roku życia młody John W. Yanta jeździł konno. Kiedy po latach farma przekształciła się w ranczo, ksiądz Yanta pomagał hodować i szczepić bydło swojemu ojcu.

John i jego rodzeństwo uczęszczali do szkół publicznych. Następnie przyszły biskup poszedł do Central Catholic High School w San Antonio. Tam podjął decyzję o powołaniu zakonnym i wstąpił do Seminarium św. Jana. Po trzech latach wrócił do domu, aby pomóc choremu ojcu w prowadzeniu gospodarstwa, ale po czasie wrócił do Seminarium. Święcenia kapłańskie przyjął w 1956 roku.



Najstarsza polska parafia w USA, w miejscowości Panna Maria koło San Antonio w Teksasie, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Ksiądz John Walter Yanta w latach 60. odegrał kluczową rolę w tworzeniu duszpasterstwa młodzieżowego. Założył San Antonio Neighborhood Youth Organization, przykładowy program finansowany przez władze federalne mający na celu pomoc młodzieży znajdującej się w trudnej sytuacji materialnej. Ten program walki z ubóstwem uznany został za jeden z najbardziej udanych i największych programów społecznych w Stanach Zjednoczonych. Ksiądz Yanta kierował także Biurem

Archidiecezjalnym ds. Świeckich i programem odnowy duchowej Lepszego Świata w całej archidiecezji. Był redaktorem Today's Catholic Newspaper i współzałożycielem oraz pierwszym dyrektorem wykonawczym Katolickiej Telewizji San Antonio (CTSA).

Jako ksiądz archidiecezji San Antonio był jednym z założycieli Polish-American Priests Association, potem przez wiele lat był sekretarzem tego stowarzyszenia zrzeszającego wszystkich polonijnych duszpasterzy w USA, a od 1990 r. jego prezesem. Utworzył też pierwszy oddział Kongresu Polonii Amerykańskiej w Teksasie.

W 1987 roku współorganizował wizytę Jana Pawła II w San Antonio.



Biskup John W. Yanta z papieżem Janem Pawłem II, fot. Panna Maria Polish Heritage Center

W 1994 r. Jan Paweł II mianował księdza Johna Yantę biskupem pomocniczym archidiecezji San Antonio. 30 grudnia został konsekrowany przez arcybiskupa Patricka Floresa, z biskupem Nossolem z Opola i biskupem Grahmannem z Dallas jako współkonsekratorami podczas ceremonii w kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NPM w Pannie Marii w Teksasie.

21 stycznia 1997 r. Jan Paweł II mianował Johna Yantę biskupem diecezji Amarillo. gdzie służył przez 11 lat i był znany ze swojej etyki pracy w odbudowie diecezji.

Kończąc swoją służbę w 2008 roku, biskup Yanta został emerytowanym biskupem i powrócił do San Antonio.

Biskup John W. Yanta wiedział, że ma polskie korzenie, ale nie znał szczegółów na temat swojego pochodzenia. Na początku lat 70. zaczął przylatywać do Polski, aby czegoś więcej się dowiedzieć o swoich polskich przodkach. W 1973 roku zorganizował wyjazd 54-osobowej grupy potomków pierwszych osadników z Teksasu na Górny Śląsk, aby zwiedzić miejscowości, z których wyjechali ich przodkowie. Zajął się też sprowadzaniem ze Śląska do Teksasu polskich księży i sióstr zakonnych, aby uczyli młode pokolenie tradycji i języka.

Na początku XXI wieku z jego inicjatywy powstała Fundacja Ojca Leopolda Moczygemby. Biskup Yanta został jej pierwszym honorowym prezesem. Zadaniem Fundacji było organizowanie wyjazdów pomiędzy Polską a Teksasem, spisywanie genealogii emigrantów ze Śląska, poznawanie historii i łączenie potomków rodzin po dwóch stronach oceanu.



Polish Heritage Center w Pannie Marii w Teksasie, na przeciwko kościoła, fot. Joanna Sokołowska-Gwizdka

Po przejściu na emeryturę zaczęła krystalizować się też koncepcja utworzenia ośrodka poświęconego polskiej emigracji w Ameryce. W 2011 roku biskup Yanta kupił ziemię w Pannie Marii pod budowę Polish Heritage Center i założył Fundację. Tak powstał projekt muzeum polskich emigrantów w Teksasie, wraz z aktywnym zbieraniem funduszy. Odległa wizja zaczęła się materializować, zrekrutowano zespół kierowniczy i rozpoczęła się budowa Centrum Polskiego Dziedzictwa. Polish Heritage Center w Pannie Marii został oficjalnie otwarty w październiku

2021 roku. Podczas otwarcia biskup powiedział:

> Nasi przodkowie imigranci dali nam początek, a ja, jako jeden z potomków, zdaję sobie sprawę, jaki mam wobec nich dług. Musimy przekazać historię ich wiary, oswajania nowej ziemi i przezwyciężania trudności przyszłym pokoleniom.(...) Wiedziałem, że Bóg chciał, abym coś zrobił: upamiętnić naszych polskich przodków i zachować przeszłość dla przyszłych pokoleń.

Działalność biskupa Johna Yanty na rzecz Polonii i polskiej historii w Teksasie została doceniona. W 2016 roku został odznaczony przez Polish American Council of Texas (PACT) nagrodą za całokształt działalności. Biskup Yanta był współzałożycielem i jednym z pierwszych prezydentów PACT (pierwszym prezydentem był Art Gmurowski). Celem organizacji jest poszerzanie wiedzy o polskiej kulturze oraz ułatwianie nawiązywania kontaktów między polsko-amerykańskimi grupami w Teksasie. Uroczystość wręczeniaq nagrody odbyła się 19 listopada w Kościele pod wezwaniem Niepokalanego Poczęcia NPM w Pannie Marii. Prof. Jim Mazurkiewicz, ówczesny prezydent PACT zauważył, że nagroda została ustanowiona, aby uhonorować osobę, której osiągnięcia wywarły znaczący wpływ na teksańską Polonię, poprzez propagowanie polskiej kultury i dziedzictwa w Teksasie.



Biskup John W. Yanta odznaczony przez prezydenta Andrzja Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP, fot. https://www.mysoutex.com/

W 2019 roku biskup Yanta został odznaczony przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę i Pierwszą Damę Agatę Kornhauser-Dudę Krzyżem Komandorskim Orderu Zasługi RP. Wręczenie odznaczenia odbyło się 13 czerwca podczas wizyty pary prezydenckiej w parafii Matki Bożej Częstochowskiej w Houston. Order nadawany jest tym cudzoziemcom i obywatelom polskim stale zamieszkałym za granicą, którzy swą działalnością wnieśli wybitny wkład we współpracę łączącą Rzeczpospolitą Polską z innym państwami i narodami. Biskup Yanta otrzymał to odznaczenie za wiele inicjatyw w środowisku polonijnym, a w szczególności za jego wizję i wytrwałość w powstaniu Polish

Heritage Center w Pannie Marii.

*

Moje krótkie spotkanie z biskupem Johnem W. Yantą, miało miejsce 6 marca 2016 roku w San Antonio. Zostałam wówczas zaproszona przez Polish-American Center na uroczysty obiad z okazji nadchodzących Świąt Wielkanocnych. Po części oficjalnej i tradycyjnym, świątecznym posiłku zaprezentowałam historię polskiego teatru w Toronto, o którym napisałam książkę. Mówiłam o walce, jaką toczą artyści, aby polska kultura na emigracji przetrwała i o jej znaczeniu w kształtowaniu młodego pokolenia. Zbierałam wówczas fundusze na wydanie książki, uroczystość wielkanocna była więc dla mnie okazją, aby spotkać się z dużą grupą Polaków w San Antonio i zaprezentować im historię tego niezwykłego teatru.



Prelekcja na temat polskiego teatru w Toronto, 6 marca 2016 r. w Polish-American Center w San Antonio, fot. Jacek Gwizdka



Joanna Sokołowska-Gwizdka rozmawia z biskupem Johnem W. Yantą, 6 marca 2016 r. w San Antonio, fot. Jacek Gwizdka

Biskup Yanta został przywieziony na spotkanie na wózku inwalidzkim. Nie wiedziałam wówczas kim jest, ale po zachowaniu innych wnioskowałam, że jest znaną osobą w Polonii. Po prelekcji miałam okazję z nim chwilę porozmawiać. Powiedział mi, że jest Polakiem i pochodzi ze Śląska. Mówił, że wiele razy był w Polsce, że wraz z grupą potomków zwiedzał miejscowości, z których pochodzili pierwsi teksascy osadnicy. Próbował mówić po polsku, ale po kilku wyrazach, wypowiedzianych z trudnością, przechodził na angielski. Pomyślałam, dlaczego tak słabo mówi po polsku, skoro się w Polsce urodził. Nie przyszło mi do głowy, że jest prawnukiem polskich emigrantów, skoro z taką żarliwością mówił o swoim polskim pochodzeniu. Na koniec rozmowy wręczył mi czek na wydanie książki. Całe zdanie powiedział po angielsku, ale jeden wyraz starał się powiedzieć po polsku: *wydanie książki wymaga wiele – cier-pli-wo-ści*. Wypowiedzenie słowa „cierpliwości" zajęło mu kilka minut, ale dzielnie walczył. Tak go zapamiętałam.

Biskup John Walter Yanta odszedł 6 sierpnia 2022 r. w swoim domu w San Antonio. Niech spoczywa w Pokoju!

*

*

Źródła:

https://www.polishheritagecentertx.org/

https://www.mysoutex.com/karnes_countywide/news/

https://www.archsa.org/blog/

https://kosciol.wiara.pl/

Wikipedia